

Jan Rokita: O politycznych zaletach rozmycia i zapętlenia

Sądzę, że jeszcze długo w Polsce nie będzie takiego rządu, który by nie upadł, jeśli mu przyszło do głowy otwarcie uznać taką, co tu dużo mówić, faktyczną samolikwidację państwowości. Chcę więc tylko głośno powiedzieć, że moim zdaniem, nie wchodząc tu nawet w imponderabilia, obie strony polskiego sporu mają interes w tym, aby wniosek Komisji von der Leyen nigdy w Luksemburgu nie został rozpatrzony – pisze Jan Rokita w felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Chyba nie doceniliśmy ryzyka, jakie niesie decyzja Komisji Europejskiej o frontalnym ataku na polski Trybunał Konstytucyjny. Wielowątkowa skarga, wniesiona przez Komisję do TSUE, otwiera bowiem hipotetyczną perspektywę takiego luksemburskiego wyroku, który nie tylko będzie zmierzać do delegalizacji polskiego Trybunału w obecnym składzie personalnym (to pół biedy), ale przede wszystkim – do precedensowego zakwestionowania mocy prawnej polskiej konstytucji. Sam przyznam, że mimo trwającej „wojny” unijno-polskiej, nie spodziewałem się tak ryzykownej dla obu stron akcji ze strony Komisji von der Leyen. W końcu cały ten przewlekły spór z Brukselą zaczął się jeszcze w 2015 roku od polskiego Trybunału, ale choć od tamtego czasu Komisja stawiała różne kwestie na ostrzu noża, to zarazem pilnowała przez siedem lat, aby kwestię konstytucyjną utrzymać w pewnych ryzach. I wydawało się to roztropne, gdyż *toutes proportions gardées* – z kwestią konstytucyjną jest trochę tak, jak z pociskami jądrowymi w

wojnie na Wschodzie. Wszyscy wiedzą, że ich zastosowanie na froncie podniesie wojnę na globalny i niebezpieczny poziom, ale nikt nie wie dokładnie na jaki.

Co bardziej przenikliwi prawnicy i politycy wiedzą, i to od wielu dziesięcioleci, że ostateczne wyklarowanie i ujednoznacznienie stosunku pomiędzy unijnym *acquis communautaire* i konstytucjami państw członkowskich, jest rzeczą niemożliwą. A mówiąc ściślej – że każda próba takiego wyklarowania skutkować musi podłożeniem politycznego dynamitu pod unijną Europę. Dlatego właśnie niezliczone konflikty, jakie na tym tle wybuchały jeszcze od lat 70 XX wieku, czyli grubo przed utworzeniem Unii, zawsze załatwiane były poprzez świadome rozmycie, z unikaniem jak ognia wyprowadzania ostatecznych logicznych wniosków ze stanowisk spierających się stron. Logika może być bowiem śmiertelnie niebezpieczna, jeśli kto chciałby ją pryncypialnie stosować na użytek polityki.

*Ostateczne wyklarowanie i ujednoznacznienie stosunku pomiędzy unijnym *acquis communautaire* i konstytucjami państw członkowskich, jest rzeczą niemożliwą*

Jest przecież całkiem jasne, że zgoda na to, aby w trybie swych konstytucji kraje członkowskie mogły suwerennie robić co chcą, pozbawia integrację europejską wszelkiego sensu.

Jeśli na przykład zechciałoby się nam skonstytucjonalizować suwerenną władzę sejmu w określaniu cel, to unijny jednolity rynek runąłby tym samym w gruzach z dnia na dzień. Ale to samo

niebezpieczeństwo działa w drugą stronę. Jeśliby nasza konstytucja nie była w stanie suwerennie określić nawet zrębów ustroju państwa i kompetencji jego najwyższych władz, bo w każdą z tych materii władczo wtrącałaby się Bruksela, to w ogóle samo państwo polskie stać by się musiało tworem teoretycznym. Nawiasem mówiąc, na tym właśnie polega anomalia tzw. „kamieni milowych” przy wypłatach z unijnego Funduszu Odbudowy; nikt bowiem nigdy nie określił materii, których z istoty rzeczy nie mogą one dotyczyć.

Twardo logicznym tropem, skutkującym narzuceniem zwierzchnictwa *acquis communautaire* nad konstytucjami, próbował dawno, dawno temu iść Trybunał Sprawiedliwości Wspólnot; a było to wtedy, gdy w Polsce nawet jeszcze nie śniliśmy o udziale w integracji europejskiej. Ale najsłynniejszym euro-rewolucjonistą był bez wątpienia Giscard d'Estaing, który jako szef konwentu, opracowującego tekst Konstytucji Europy, uznał, że to jedyna okazja dla ostatecznego złamania podstaw tradycyjnego konstytucjonalizmu państw członkowskich. Wiadomo, czym to się skończyło. A twórcy traktatu lizbońskiego, choć w poglądach na Europę nie różnili się od Giscarda, byli jednak na tyle politycznie roztropni, że powrócili do reguł pragmatycznej szkoły rozmywania i zapętlenia problemu. Wiele lat później spór Brukseli z Polską dał asumpt von der Leyen, aby podążyć tropem Giscarda. W 2021 roku, odrzucając październikowy wyrok polskiego Trybunału, oświadczyła jednoznacznie, iż: „prawo wspólnotowe jest nadrzędne nad prawem krajowym, w tym nad postanowieniami konstytucyjnymi”. Znamienna była reakcja harwardczyka i szefa *International Journal of Constitutional Law* – prof. Josepha Weilera, który (dodajmy) jest uznawanym w Brukseli autorytetem w tej materii. „To niedokładna definicja, bez względu na to, kto ją sformułował” – powiedział wtedy dziennikowi „Rzeczpospolita”.

W czym rzecz? Ano w tym, że „dokładna” definicja to taka, wedle której *acquis*, owszem, góruje nad konstytucjami pod pewnym względem, ale konstytucje nad *acquis* górują pod innym. I oczywiście można się bez końca spierać o realny przebieg owej linii granicznej. Dopóki kiedyś było tak, że tzw. „kompetencje wyłączne Unii” i „kompetencje wyłączne krajów członkowskich”, jak stoi dotąd w nieaktualnych podręcznikach, zdawały się jako tako wyraźne, to granica ta dawała się jeszcze jakoś w przybliżeniu przeprowadzić. Ale dziś wszystko jest już w Unii tak kompetencyjnie zapętlone, że nawet nie wiadomo, jaką metodą można by się zabrać do dzieła wytyczenia owej granicy na nowo. Sam sądzę, że jest to już rzecz intelektualnie niemożliwa do wykonania, a ów najbardziej zaplątany europejski węzeł gordyjski musi po prostu takim pozostać. Nie trzeba nam do szczęścia żadnego butnego Aleksandra, który nie jest w stanie zdzierzyć tego, iż splątanego węzła nikt już nie potrafi rozsypać. Nowy Aleksander przyniesie bowiem Europie same nieszczęścia.

Inkryminowany teraz przez Komisję październikowy wyrok polskiego Trybunału daje się, przy dobrej woli, odczytać w takim właśnie antyaleksandryjskim duchu. Choćby dlatego, że z pewną przezornością, ilekroć kwestionuje on przepisy traktatu lizbońskiego w imię polskiej konstytucji, to opatruje to klauzulą: „w zakresie wskazanym we wniosku”. Chodzi – jak wiadomo – o wniosek premiera Morawieckiego, który legł u podstaw owego przesławnego w całej Europie wyroku. Swego czasu, głosząc na tych łamach pochwałę precyzji starej i dobrej scholastyki, starałem się dowodzić, jak niezbędna w myśleniu o suwerenności jest stosowana przez św. Tomasza dystynkcja, zawierająca się w formułce „*secundum quid*” (czyli „pod pewnym względem”). Owo „w zakresie wskazanym we wniosku” – to logicznie nic innego, jak tamto Tomaszowe „*secundum quid*”. A skoro tak, to

Trybunał pod wodzą sędzi Przyłębskiej nie robi frontalnego zamachu na moc *acquis communautaire*, ale w sporze z Luksemburgiem próbuje tylko lekko przesunąć chwiejną granicę suwerenności na rzecz kraju członkowskiego.

*Bardzo się boję, iż w
luksemburskim TSUE
zwycięży jednak opcja
nuklearna*

Skąd zatem moje
poważne obawy co
do skutków nowej
skargi Komisji? Otóż
bardzo się boję, iż w
luksemburskim TSUE
zwycięży jednak

opcja nuklearna. Czyli raz jeszcze spróbować podążyć aleksandryjskim tropem Giscarda i Trybunału Sprawiedliwości sprzed pół wieku, i chwytając za gardło znienawidzony rząd polski, spróbować chwycić po cichu całą Europę. W Brukseli i w Luksemburgu, zwłaszcza wobec bliskich polskich wyborów, istnieje polityczne zapotrzebowanie na zrobienie w końcu czegoś, co wpędzi w matnię rząd w Warszawie, skoro nie wpędziło go w nią nawet (przynajmniej jak dotąd) odcięcie od unijnych pieniędzy. Co więcej, von der Leyen dała sędziom luksemburskim jedyną w swoim rodzaju okazję. Idąc na całego w kwestii polskiej konstytucji, mogą mieć nadzieję na tak zasadnicze powiększenie zakresu swej politycznej władzy nad Unią, o jakim jeszcze niedawno nie mogli nawet marzyć. Czy można więc postawić wszystko na jedną kartę, zakładając, że luksemburscy sędziowie jednak oprą się tak silnej pokusie?

Póki wyroku nie ma, można zawsze wycofać skargę Komisji. Ale by to było możliwe, polityczny interes w takim kroku musiałaby zobaczyć także polska centrolewicowa opozycja. Paradoksalnie, rządząca prawica

może domniemywać, że rozgrzanie aż do czerwoności konfliktu o moc obowiązującą polskiej konstytucji co najmniej nie zaszkodzi jej w jesiennych wyborach. Choć musiałoby się to stać za cenę takiego polsko-unijnego kryzysu, z którego mogłoby już nie być dobrego wyjścia. Mam jednak wrażenie, że dla centrolewicowej opozycji, jasne opowiedzenie się tuż przed wyborami za luksemburskimi sędziami, jeśli by ci zdecydowali (tak jak definiuje to von der Leyen), że z Brukseli zawsze wolno zmienić polską konstytucję, może stanowić spory kłopot. Już nawet nie mówiąc o hipotetycznym przyszłym centrolewicowym rządzie, który tak właśnie by w przyszłości zdecydował. Sam sądzę, że jeszcze długo w Polsce nie będzie takiego rządu, który by nie upadł, jeśli by mu przyszło do głowy otwarcie uznać taką, co tu dużo mówić, faktyczną samolikwidację państwowości. Chcę więc tylko głośno powiedzieć, że moim zdaniem, nie wchodząc tu nawet w imponderabilia, obie strony polskiego sporu mają interes w tym, aby wniosek Komisji von der Leyen nigdy w Luksemburgu nie został rozpatrzony.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
